

Panuje taki obrzydliwy pogląd, że nieplodność nie boli

Nagroda Nobla za szczęście z próbówki

POLSKA THE MATRONS
EKOS
WIELKOPOLSKI

Nr 237 (9 X). Cena 1,70 zł

Zaraz po przebudzeniu nie myślą, czy jest piątek czy niedziela, pierwszy czy piętnasty października. Najważniejsze jest, który to dzień cyklu. Nie zastanawiają się, ile jeszcze do weekendu, Gwiazdki czy urlopu. Liczą, ile dni zostało do owulacji, kiedy to będą mogły podjąć intensywne starania o dziecko albo (jeśli to druga połowa cyklu miesięcznego) odliczają godziny do momentu, kiedy będą mogły wykonać test ciążowy.

Bezsilność

Kobiety starające się o dziecko wszystkie swoje zajęcia, plany wakacyjne i zawodowe, a nawet imprezy i spotkania towarzyskie podporządkowują kalendarzowi biologicznemu. – Przyjdziecie do nas w piątek? Będzie kilka osób, wypijemy wino, obejrzymy zdjęcia z wakacji – zachęca koleżanka. A Marzena Małolepsza już się zastanawia, czy w piątek nie będzie miała przypadkiem dni płodnych i lepiej, żeby nie pili wtedy z mężem alkoholu.

– Staraliśmy się o dziecko osiem długich lat – wyznaje Marzena. – Zaraz po ślubie przestałam używać antykoncepcji, ale na początku nie mieliśmy takiego ciśnienia. Myśleliśmy, że jak się uda, to będzie fajnie, a jak nie, to może za rok, dwa zostaniemy rodzicami.

Ale mijały lata, a dwóch kresek na teście nie było widać. Kolejni ginekolodzy zachęcali do starań, nie widzieli przyczyny niepowodzeń. W końcu któryś zdecydował się na zlecenie badania poziomu hormonów.

– Okazało się, że mam podwyższoną prolaktynę i muszę przejść terapię hormonalną – wspomina Marzena. – Brałam leki, przytyłam po nich 20 kilo, ale liczył się cel. Chyba wtedy zaczęłam wpadać w tę obsesję posiadania dziecka, ale jeszcze tego tak wyraźnie nie dostrzegalam.

Szansa

Po pięciu latach leczenia na chybił trafił i bezowocnych starań Marzena z mężem trafiła do kliniki leczenia nieplodności. Po szczegółowych badaniach specjaliści nie pozostawili im złudzeń. Jeśli Marzena chce urodzić dziecko, muszą się zdecydować na in vitro.

– Byłam zmęczona nietrafnymi diagnozami, obojła po nieskutecznych lekach, mój stan psychiczny był opłakany – mówi Marzena. – Nikt mi nie wmówił, że nieplodność to nie choroba. Ja byłam chora, czułam się chora. Nie potrafiłam żyć, nie potrafiłam myśleć o niczym innym, w końcu nie umiałam rozmawiać z mężem na żadne inne tematy. Myślę, że on miał mnie już dosyć. Nasze małżeństwo przeżywało wtedy kryzys. Paradoksalnie, wyjazd mojego męża dobrze nam zrobił.

Piotr Małolepszy wyjechał do Niemiec, żeby zarobić pieniądze na zabieg in vitro. Wcześniej już wyjeżdżał,

bo kilkuletnie leczenie pochłonęło podobną kwotę. Marzena jest rehabilitantką, Piotr księgowym. Nie powodziło im się źle, ale in vitro to wydatek rzędu kilkunastu tysięcy złotych.

– Nie mieliśmy oszczędności, bo wszystkie pieniądze wydawaliśmy na bieżące badania i leczenie – przyznaje Marzena. – Do kliniki musieliśmy dojeżdżać około 200 kilometrów. To były duże koszty. Kiedy jeździłam na monitoring cyklu, czyli obserwowanie dzień po dniu, jak rozwijają się i pękają pęcherzyki, musiałam nocować w innym mieście. Jedna wizyta kosztowała mnie od 150 do 200 zł.

Pieniądze

Cena samego transferu zarodków zależy od rodzaju i kliniki. To koszt od 3500 zł (w Białymstoku) do 7000 zł. Kolejne próby polegające na transferze zamrożonych zarodków kosztują ok. 1500 zł. Niektóre kliniki proponują ceny promocyjne. Jedną z promocji jest propozycja Invicty, gdzie można wybrać opcję „In vitro do skutku” za 9600 zł. Sam transfer to jednak nie wszystko. Zabieg poprzedza dłuższa lub krótsza terapia hormonalna, która może kosztować kilka tysięcy złotych. Do tego należy dodać ceny badań, wizyt, a także dodatkowe koszty podróży, noclegów czy pobytu w obcym mieście.

– Na szczęście udało mi się zająć w ciąży po pierwszym transferze, więc zamknęliśmy się w kwocie 12 tysięcy złotych – mówi Marzena. – Połowę tej sumy dołożyli nam moi rodzice, którzy żartują, że mają teraz 50 procent udziałów w naszej córce.

Martyna Małolepsza jest jedną z 4 milionów osób na świecie, które urodziły się dzięki zapłodnieniu in vitro. Stało się to możliwe dzięki brytyjskiemu lekarzowi, który od lat 50. ubiegłego wieku pracował nad tym zagadnieniem. W 1978 roku na świat przyszła pierwsza dziewczynka „z próbówki” – Louise Brown, a teraz brytyjski uczonek Robert Goefrey Edwards otrzymał Nagrodę Nobla za opracowanie metody in vitro.

„Jego osiągnięcia – napisali członkowie Komitetu Noblowskiego – umożliwiły leczenie nieplodności, schorzenia, które dotyczy dużej części ludzkości, ponad 10 proc. par na całym świecie”. Dzisiaj zarówno Louise Brown, jak i jej siostra, również poczęta metodą in vitro, mają swoje

dzieci. W przypadku obu kobiet zapłodnienie pozaustrojowe nie było potrzebne. Siostry zaszyły w ciąży w zupełnie naturalny sposób.

Sukces

Teoretycznie metoda in vitro jest zupełnie prosta. Z ciała kobiety pobiera się komórkę jajową, którą w warunkach laboratoryjnych łączy się z plemnikiem. Zapłodnioną komórkę z powrotem umieszcza się w jamie macicy i dalej, po zagnieżdżeniu, ciąża może rozwijać się w sposób naturalny.

Po sukcesie Roberta Goefreya Edwardsa wyzwanie podjęli także polscy medycy. Metodą in vitro pierwszy w Polsce zainteresował się profesor Marian Szamatowicz z białostockiej kliniki ginekologii. Przyznaje, że od początku tę metodę trzeba było w Polsce wprowadzać dyskretnie, bo budziła wiele kontrowersji.

Mimo niesprzyjających okoliczności profesorowi udało się w 1987 roku przeprowadzić pierwszy w Polsce udany zabieg in vitro. Dzięki niemu, 12 listopada w białostockiej klinice 33-letnia kobieta urodziła zdrową, trzykilogramową dziewczynkę.

Professor Szamatowicz rozumie rozpaczą, bezsilnością i desperacją kobiet, które dotknął problem nieplodności. Niektóre przeszły w młodości ostre zapalenia otrzewnej, a zrosty na jajowodach uniemożliwiają im naturalne zapłodnienie, inne mają usunięte jajowody po ciążach pozamacicznych. In vitro dla nich oznacza nadzieję na poczęcie dziecka.

Powodów, które uniemożliwiają zajście w ciążę, jest sporo. Wszystkie pary łączy jednak ten sam ból. Nie wszystkich stać na drogie zabiegi. Professor Szamatowicz chciałby, aby i dla takich rodzin była szansa na dziecko poprzez refundację zabiegu. – Panuje taki obrzydliwy pogląd, że nieplodność nie boli, że od niej się nie umiera, więc po co pochylać się nad problemem – ubolewa profesor Szamatowicz.

Jeszcze w 1992 roku in vitro było finansowane z budżetu państwa. Dopiero ówczesny minister zdrowia Włodzimierz Sidorowicz umieścił zapłodnienie pozaustrojowe, obok operacji plastycznych, na liście zabiegów kapryśnych, za które powinna płacić pacjentka.

Wstyd i odwaga

Nieplodność dotyka 12-15 procent par na świecie. Jak każda choroba, nie wybiera. Zdarza się zarówno wśród ubogich rodzin niewykwalifikowanych robotników, jak i wśród znanych i bogatych par z pierwszych stron gazet.

Ci ostatni chętniej jednak opowiadają publicznie o swoich operacjach plastycznych niż o walce z nieplodnością. A szkoda, bo ci nieliczni, którzy poczęta metodą in vitro, mają swoje

blemów z zajściem w ciążę, potrafią dać nadzieję tysiącom niepłodnych par, pokazać, że walkę o własne dziecko można wygrać i że nie jest to problem, którego trzeba się wstydzić.

Jedną z nielicznych kobiet, które przyznały, że zaszły w ciążę dzięki metodzie in vitro, jest Bogna Sworowska, wicemiss Polonia z 1987 roku. W wywiadach mówi o bezowocnych dwóch latach starań, o cierpieniu, bólu i strachu przed niepowodzeniem. W wieku 36 lat zdecydowała się na in vitro. Dziś jej syn Ivan ma prawie 6 lat, a Bogna Sworowska marzy o kolejnym dziecku. Wielką odwagą wykazał się także aktor Jacek Rozenek.

– Przykro mi, że temat in vitro wciąż budzi tyle emocji i że są osoby, które wypowiadają się na ten temat, nie mając o nim pojęcia, przy okazji obrażając mnie i moje dzieci. Teraz wraz z żoną spodziewamy się narodzin kolejnego dziecka, także syna i także poczętego dzięki in vitro – powiedział w jednym z wywiadów. Dzisiaj Małgorzata i Jacek Rozenkowie mają dwóch zdrowych synów.

Nie wszyscy mają tyle szczęścia. Niektórym parom nie udaje się tak szybko zająć w ciążę. Innym nie udaje się to w ogóle. Medycyna daje szansę, ale nie pewność. Przy pierwszym transferze prawdopodobieństwo powodzenia wynosi zaledwie 20 procent, choć niektórzy specjaliści podają, że 40.

Do zapłodnienia in vitro można podchodzić wiele razy. Lekarze starają się zniechęcić pacjentki po czwartym, piątym podejściu. Jeżeli jednak kobieta się uprze, rzadko odmawiają kolejnego transferu. Rekordzistka w Białymstoku zaszła w upragnioną ciążę, podchodząc do in vitro 11 razy.

Córka Marzeny Małolepszej właśnie skończyła 2 lata. Może kiedyś dowie się, w jaki sposób została poczęta.

– Jeśli w naszym kraju nic się nie zmieni, to wątpię, czy jej kiedykolwiek powiem o in vitro – mówi Marzena.

– Mam jednak cichą nadzieję, że kiedy moja córka dorośnie, podejście do tej metody będzie inne.

Marzena przyznaje, że boli ją, kiedy słyszy krzywdzące opinie o ludziach, którzy zdecydowali się na in vitro.

– Denerwuje się, kiedy ktoś mówi, że najpierw decydujemy się na karierę, zarabianie pieniędzy, a na końcu na dziecko i wtedy jest już za późno – nie kryje oburzenia Marzena. – Gdzie są te nasze kariery i pieniądze? Koleżanki porobiły doktoraty albo studia podyplomowe, a ja albo byłam w depresji, albo na środkach hormonalnych. Od 10 lat pracuję w tym samym szpitalu, mój mąż prowadzi małe biuro rachunkowe. Moim największym osiągnięciem życiowym, moją dumą i sensem życia jest córka.